Raymond F. Jones

…jak inni widzą nas

(…As Other See Us)

Fantastic Adventures, May 1951
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Wielka, niebiesko-biała gwiazda Donophan 1210, znajdowała się nie więcej niż pół miliona mil od nich. W jej monstrualnym polu grawitacyjnym, luksusowy jacht *Westphalia* zataczał się szaleńczo. Ciśnienie światła i cykloniczne wiry cząstek radioaktywnych, obracały statkiem, pomimo wysiłku stosów atomowych, działających w głębi jego smukłego kadłuba.

Jak obijany przez fale żaglowiec ze starożytnych mórz Ziemi, statek skręcał i zataczał pod uderzeniami fotonów i podmuchami rozproszonych atomów pierwiastków, które wyrwały się z wielkiej gwiazdy.

Na mostku *Westphalii*, dowódca z powagą i niepokojem obserwował wskazania przyrządów. Kapitan Dawson spędził w kosmosie trzydzieści pięć z pięćdziesięciu lat swego życia, i nigdy jeszcze nie skierował statku w tak zdradzieckie miejsce. Teraz także by tego nie zrobił, gdyby to od niego zależało.

Do tej pory, zawsze, tytuł kapitana oznaczał, że był absolutnym panem i władcą na pokładzie dowodzonego przez siebie statku. Dwadzieścia lat spędził na mostku luksusowego liniowca Ziemia-Mars. Ale kapitanowie liniowców przechodzą obowiązkowo na emeryturę w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, a prowadzenie kurzej fermy nie było dla takich ludzi jak on.

Na emeryturze, mieli oni tylko jedną drogę wyjścia – Flota Złotych Talerzy, prywatne jachty, których właścicielami byli odpowiednio bogaci ludzie.

Uniósł czapkę, by otrzeć pot na czubku głowy i starannie wyrównał wianuszek otaczających go siwych włosów. Wytarł również tył szyi i twarz, która z gorąca przybrała barwę znacznie czerwieńszą, niż obecny na niej zwykle zdrowy róż.

Nadal miał jednak na sobie dokładnie zapiętą, z wojskową precyzją, kurtkę mundurową, chociaż już znacznie wcześniej zezwolił oficerom i marynarzom zdjąć swoje.

Obok niego stał pierwszy oficer Jenkins, obserwując przez port widokowy gigantyczną gwiazdę. Technicznie rzecz biorąc, był to biały karzeł. Jenkins zastanawiał się z roztargnieniem, czy człowiek który posłał ich tutaj, kiedykolwiek był tak blisko któregoś z nich.

— Musimy się wycofać — stwierdził Dawson. — Podejście tak blisko, było szalonym pomysłem. Proszę przejąć mostek. Niech pan powie pilotowi, żeby odszedł od gwiazdy. Proszę kazać nawigatorowi Hillowi wyznaczyć kurs poszukiwawczy tej wymarzonej planety Canby'ego. Wracam na pokład pasażerski.

Jenkins skinął głową i zasalutował energicznie – oraz z nadzieją. Tak naprawdę wątpił jednak czy nawet groźba katastrofy pozwoli uzyskać zgodę na zabranie statku poza straszliwe pole gwiazdy. Właściciele Złotych Talerzy już tacy byli.

Kapitan powoli szedł korytarzem, ciągnącym się po długości statku, wzdłuż burty przeciwległej od gwiazdy. Nawet tutaj czuł intensywne

gorąco. Metalowe ściany i stalowe płyty podłogi pod nogami, promieniowały ciepłem z całej siły. Po cichu pozwolił sobie na odrobinę nadziei, że Phillipsowie oraz ich goście ugotowali się we własnym sosie – wszyscy za wyjątkiem George'a. George Philips, przynajmniej, był przyzwoitym człowiekiem. Gdyby tylko miał na tyle silnej woli, żeby przeciwstawić się tym swoim babom…

Dawson sądził, że jest sam, w na wpół ciemnym korytarzu strony od-kosmicznej – przynajmniej dopóki nie wpadł na pulchną postać właściciela statku.

George Phillips stał przy porcie widokowym, wyglądając na usiane gwiazdami głębiny kosmosu. Ognik jego cygara na tle gwiazd miał jasność niemal nowej.

— Przepraszam, nie zauważyłem, że tutaj stoisz — powiedział Dawson. — Właśnie szedłem do salonu, żeby się z tobą zobaczyć. Musimy odejść od gwiazdy.

Phillips wyprostował się, podciągając szorty, jedyne co miał na sobie. Jakimś cudownym sposobem trzymały się dolnej strony jego wydatnego brzuszka.

— Jest aż tak źle? — spytał.

— Jeśli zostaniemy tu jeszcze pół godziny, nie mogę przyjąć odpowiedzialności za to, co się może stać. Ekrany i aparatura chłodząca, pracują na pełnej mocy. Jeśli cokolwiek się popsuje, usmażymy się tu jak frytki, zanim nawet zdążymy zawrócić statek.

— Canby twierdzi, że to jest kwestia tylko paru godzin — powiedział Phillips z niezdecydowaniem. Otarł spływający z brwi pot i usiadł na obitym skórą siedzeniu koło portu widokowego. — Nie damy rady jeszcze tyle wytrzymać?

— Czy sobie tego życzysz?

— Do diabła, nie! To nie był mój pomysł – smażyć się we własnym sosie tylko po to, by jakiś zwariowany artysta mógł namalować obraz tej gwiazdy z bliskiej odległości. To nawet jeszcze większe szaleństwo, niż ta jego idea krystalicznego życia, która nas tu sprowadziła.

Dawson usiadł koło George'a.

— Nie do mnie należy — wolno oznajmił, — aby mówić ci, jak masz prowadzić swoje sprawy. Jestem tylko człowiekiem wynajętym do pilotowania twojego statku, a ty być może wiesz co robisz. Ale, gdybym był tobą, zamknąłbym gdzieś te Kobiety i wrzucił Roala Canby'ego do izolatki, odlatując stąd w stronę chłodniejszych miejsc we wszechświecie.

Phillips ciężko westchnął.

— Szkoda, że nie mogę tego zrobić, ale nie wiesz jak to jest, Tom. Czterdzieści pięć lat temu, może miałem na to szansę, ale wtedy nie wydawało się to wartego niezbędnego wysiłku. Zanurzony byłem po uszy w sprawach biznesowych. Sandra zajmowała się sama sobą. Prowadziła dom i wychowywała córki tak, by były wiernymi kopiami jej samej, i

wszystkie one nienawidzą mnie do szpiku kości – poza Irene. Ona jest wyjątkowa. Nie udało jej się im przekabacić.

— Teraz jestem już za stary, żeby wszczynać awanturę. Umieściłem większość swoich pieniędzy tam, gdzie nie mogą na nich położyć łapy, co prawdę mówiąc jest moją polisą ubezpieczeniową na życie. W innym wypadku, pewnego pięknego dnia obudziłbym się pewnie z podciętym gardłem.

Kapitan Dawson zgodził się z nim w myślach. Był pewien, że zamordowanie męża, byłoby całkowicie w zasięgu możliwości Sandry Phillips, gdyby tylko uznała, że przyniesie jej to jakąś korzyść.

Bywały chwile, kiedy żałował swego kawalerskiego życia, ale ta zdecydowanie do nich nie należała.

Lubił spokojnego, skromnego George'a Phillipsa. Jako międzyplanetarny przemysłowiec, człowiek ten wiele zrobił dla przesunięcia granic cywilizacji poza Układ Słoneczny. To głównie jego firma była odpowiedzialna za utworzenie szeregu gigantycznych baz, które stały się kamieniami milowymi na drodze w kosmos. A jeśli Phillips podczas tego procesu wrzucił kilkaset milionów do swej własnej szkatuły, Tom Dawson nie widział w tym nic złego, ani mu nie zazdrościł.

Nie oddałby nawet godziny swego życia za cały majątek Phillipsa – włączając to jego żonę. Kapitan spędził swoje życie niemal dokładnie tak, jak tego chciał i uważał, że człowiekowi więcej do szczęścia nie jest potrzebne. Wyruszył w kosmos zanim jeszcze skończył dwadzieścia lat. Był kapitanem luksusowego liniowca Ziemia-Mars dłużej, niż miał prawo tego się spodziewać. Widział otwarty kosmos wystarczająco często, by zaspokoić swe najbardziej pierwotne tęsknoty, a teraz miał dobre miejsce na starość.

Złote Talerze często wiązały się z nieprzyjemnymi układami, dla ludzi przyzwyczajonych do porządku i precyzji panujących na komercyjnych statkach, ale Tom Dawson miał szczęście, że zaciągnął się u George'a Phillipsa. Poznał przemysłowca dziesięć lat wcześniej, podczas podróży na Marsa, a ich przyjaźń była wzajemna i mocna.

Ale rodziny Phillipsa, Dawson nie cierpiał. Kobiet, jak określał je George. Pani Phillips oraz dwie jej starsze córki, Anya i Roene, były najgorszymi podliznami, zgodnie z każdą definicją. Tylko najmłodsza, Irene, miała pogodne cechy swego ojca.

Na tę podróż, Kobiety zaprosiły licznych powinowatych i dobranych znajomych ze swego własnego wyrafinowanego rodzaju. Jedną z ich maskotek był artysta, Roal Canby.

Canby był ekstra specjalnym szaleńcem, jedynym w swoim rodzaju. Podczas wyboru celu podróży, przekonał je, aby podążyć za pogłoską, którą bełkotał przez dwadzieścia lat swego życia, pogłoską o fontannie młodości w fantastycznej Kryształowej Dolinie, jedynej planety Donophana – planety, której nie było na żadnej znanej Dawsonowi mapie gwiezdnej.

Była to właśnie jedna z tego rodzaju obłąkanych rzeczy, przemawiających do bogatych ludzi, chcących czymś wypełnić swe bezużyteczne życie. Oczywiście, nikt nie uwierzył w opowieść Canby'ego, ale dobrze się o tym rozmawiało i nadawała ona jakiś sens, ich generalnie bezcelowemu krążeniu po kosmosie.

Canby ponoć ostatecznie otrzymał współrzędne tego miejsca, podczas jakiegoś marsjańskiego nurkowania pięć lat temu. Dla kapitana Dawsona ewidentne było, że przekonanie przez niego Kobiet Phillips, było zakończeniem długiej i starannie zaplanowanej kampanii. George Phillips, teraz już na emeryturze, miał być tylko towarzystwem w podróży. I tak też było, pomyślał sobie Dawson.

Na wszystkich mapach gwiazda Donophan 1210, nie miała w ogóle żadnej planety. Ale nie było sprawą Dawsona kwestionowanie sytuacji, w której Philips życzył sobie sprawdzić bilion mil sześciennych kosmosu w próżnym poszukiwaniu wyimaginowanej planety.

Polecił wejść na kurs przecinający współrzędne na tajnej mapie Canby'ego. Wtedy artysta wpadł na szalony pomysł namalowania karłowatej gwiazdy z bliskiej odległości. Obserwacje przez teleskop nie wchodziły w grę – nie przekazywały właściwych „emocji", które musiał poczuć. Kiedy wydany został rozkaz bliskiego podejścia do gwiazdy, Dawson z czułością zaczął rozważać hodowlę białych leghornów.

— Ktoś kogoś zamorduje, zanim ta podróż się zakończy — powiedział George, markotnie wpatrując się nieznajome gwiazdozbiory. — Czuję to w kościach.

Dawson potrafił zrozumieć takie uczucia. Sam chętnie zacisnąłby ręce na gardle pani Phillips i jej najstarszej córki, Anyi.

— To przez to gorąco — odparł. — W tych warunkach każdy by poczuł przyjemność na samą myśl o poderżnięciu komuś gardła. Wracajmy do salonu i wyjaśnijmy sytuację Kobietom.

— To nic nie da. Równie dobrze Roal Canby od razu mógłby przejąć funkcję właściciela i kapitana tego statku, ode mnie i od ciebie.

— Są pewne paragrafy prawa kosmicznego, które wymagają, by kapitan chronił swych pasażerów. Możemy się do nich odwołać, ponieważ sprawa doszła już do punktu, gdzie w grę wchodzą kwestie bezpieczeństwa.

— I wtedy będę musiał wylać cię z pracy — ze smutkiem oznajmił George. — Kobiety zmuszą mnie do znalezienia nowego kapitana, kiedy tylko dotkniemy nabrzeża w najbliższym ziemskim porcie.

Dawson zdusił w gardle ripostę, która wskoczyła mu do głowy. Przyznał sam przed sobą, że nie wie jak to jest, żyć przez czterdzieści pięć lat z jedną kobietą, nawet taką jak Sandra Phillips. Ciągle jednak nie potrafił sobie wyobrazić, jak ktoś mógł zredukować przemysłowego giganta, jakim był George Phillips, do takiej miernoty. A jednak, widział to na własne oczy, i nie podobało mu się to co widzi. Jeszcze raz podziękował wszystkim gwiazdom wszechświata za swój kawalerski stan.

Zbliżali do salonu. Nigdzie nie było widać żadnego ruchu. W otępiającym gorącu Kobiety Phillips, ich mężowie, powinowaci i goście leżeli kompletnie wyczerpani na dywanach i na podłodze.

Dawson zerknął na wiszący na ścianie termometr. Wskazywał sto dwadzieścia jeden stopni[1]. Nawet przy tak niewielkiej wilgotności, na poziomie procenta, czy dwóch, było to nie do zniesienia.

Wszyscy mężczyźni ubrani byli podobnie jak George Phillips, w szorty. Kobiety porozbierały się na tyle, na ile pozwalało prawo – a tak daleko od domu, było ono bardzo łagodne, co z niesmakiem stwierdził Dawson.

Wszedł do salonu, gdzie pani Phillips siedziała ponuro, obserwując jak gwiazdy wolno wirują, przesuwając się przez kolejne porty widokowe.

Była równie skąpo ubrana, jak młodsze kobiety. Jej wiekowe, obnażone ciało, było odstręczające. Otyłość wieku średniego, zaczęła u niej się zmieniać już w skurczoną bezkształtność prawdziwej starości. Włosy, stalowo-siwe, zazwyczaj kunsztownie ufryzowane, wisiały w posklejanych, rzadkich strąkach.

— Co u pana, panie kapitanie? — powiedziała. — Wydawało mi się, że pańskie własne zarządzenia, powinny przynajmniej pozwolić panu na zdjęcie kurtki, w tym piekle. Człowiekowi robi się jeszcze goręcej na sam pana widok.

Dawson powstrzymał się od wyjaśnienia jej, jak działa na niego ona.

— Musimy zmienić kurs statku — oznajmił. — Nasze maszyny są wypalone ponad wszelkie rozsądne normy bezpieczeństwa. Dla ochrony państwa życia, musimy wycofać się spod Donophana. Będziemy kontynuować poszukiwania planety pana Canby'ego, ale ten niebezpieczny punkt obserwacyjny, zdecydowanie musi zostać opuszczony.

Starsza kobieta wybuchła, z niewiarygodną energią.

— Panie Dawson…! Pańskim obowiązkiem jest zabrać statek wszędzie tam, gdzie życzy sobie tego pan Phillips. Nie płaci się panu za określanie, które z tych miejsc mają zostać opuszczone.

Zwróciła się z furią do swego męża.

— Czy nie określiliśmy tego jasno, że chcemy lecieć do Kryształowej Doliny trasą, która pozwoli panu Canby'emu na taką obserwację tej gwiazdy, jaka mu będzie potrzebna?

— Tak, oczywiście… — żałośnie odparł George. — Ale…

— A więc, proszę wykonać otrzymane instrukcje, kapitanie Dawson. Powiadomimy pana, kiedy nie będziemy w stanie znieść już dłużej tego dyskomfortu. Pan jest człowiekiem maszyn i chłodnych obliczeń, panie kapitanie. Jestem absolutnie pewna, że nie jest pan w stanie zrozumieć wyższych emocji rodzących się w sercu wielkiego twórcy, takiego jak pan Canby, który podejmuje się uwiecznić te wspaniałe doświadczenia na płótnie, aby przekazać podobne emocje innym czułym duszom. Reszta z nas jest skłonna wziąć udział w tej wyrafinowanej chwili tworzenia, przynajmniej w takim zakresie. Od pana nie wymaga się zresztą

[1] Oczywiście Fahrenheita. Prawie 50°C (przyp. tłum.)

zrozumienia. Płaci się panu, żeby leciał pan tym statkiem zgodnie z otrzymanymi poleceniami.

Kapitan Dawson głęboko odetchnął w gorącym, suchym powietrzu, aby upewnić się, że ma pełną kontrolę nad swym głosem.

— W sprawach bezpieczeństwa… — zaczął mówić.

Nie udało mu się dokończyć. Z korytarza po od-słonecznej stronie statku doleciał nagle ostry wrzask. Rozpoznał piskliwy, gwałtowny głos Anyi.

— Na pomoc… Och, chodźcie tu szybko…! — Jej krzyk przerwał odgłos ciężkich kroków i ostry trzask.

Kapitan Dawson był już przy drzwiach, zanim jeszcze któryś z odpoczywających gości zdążył się ruszyć. Ale lekarz okrętowy, Bronson, już nadbiegał tam z innego kierunku. Zniknął w drzwiach saloniku, pozostawionego do dyspozycji Roala Canby'ego, jako pracownia.

Dawson wpadł do dużego, pustego pomieszczenia, gdzie wielki port obserwacyjny pokazywał gwiazdę, która w miarę jak statek zmieniał kurs, przesuwała się w stronę rufy.

Artysta Roal Canby leżał na podłodze. Doktor Bronson pomagał mu unieść głowę z kałuży własnej krwi.

Anya stała oparta o przeciwległa ścianę. Dawsonowi jej twarz zawsze wydawała się twarda, a widoczne na niej zgorzknienie intensyfikowała szaleńcza walka z wiekiem, z powstrzymaniem uciekających lat, by nie wpaść w ramiona średniego wieku. Teraz, wściekłość zdawała się zupełnie na nowo kształtować jej oblicze. Pięści miała zaciśnięte, a jej całe ciało było sprężone, jak u gotowego do skoku kota.

Także sam stał tam także Millar Croatan, mąż Anyi. Był bardzo kompetentnym wiceprezesem ogromnych przedsiębiorstw Phillipsa. Bez zmrużenia oka wpatrywał się ze wściekłością w leżącego artystę, pięści miał wyzywająco zaciśnięte.

Do pomieszczenia wpadła Sandra Phillips i zaczęła biegać między nimi z krzykiem, wyrzucając ręce histerycznie na wszystkie strony. Dawson zrobił krok naprzód i złapał ją mocno pod ramię.

— Z pewnością chce pani pomóc doktorowi Bronsonowi — powiedział — i lepiej będzie dla pana Canby'ego, jeśli pani się uspokoi i usiądzie, pani Phillips.

Oczy tej kobiety przypominają jaszczurcze, pomyślał sobie. Są ostre i twarde, otoczone pomarszczoną, workowatą skórą.

— Panie kapitanie, wypraszam sobie!

Ale podeszła do wskazanego siedzenia i nic się nie odzywała, pomimo widocznej złości na to, że przerwał jej histeryczny popis.

Dawson stanął u boku Bronsona.

— Czy mogę w czymś pomóc?

— Nie, myślę, że nie ma potrzeby. To zresztą nic poważnego. Rozcięta warga i obluzował mu się ząb, albo dwa, ale nic więcej.

Kapitan podszedł następnie do Millara Croatana, który nie ruszał się ze swego miejsca. Zdawało się, że nie jest w stanie odwrócić wzroku od postaci leżącego artysty.

— Co się tutaj stało? — spytał Dawson. — Być może będę musiał umieścić pana w areszcie, jeśli wysunięte zostaną zarzuty, albo zaatakował pan Canby'ego przy użyciu broni.

— Na takich jak on, nie potrzeba żadnej broni! — Millar uniósł grubą, twardą pięść i potarł ją drugą dłonią. — Jego szklana szczęka znalazła się po prostu na drodze mojej pięści. I to wszystko.

— Znalazła się!

Przez chwilę Dawson myślał, że to pani Phillips wróciła do swoich wrzasków, ale kiedy się odwrócił, zobaczył, że tym razem pałeczkę podjęła Anya.

— Wpadłeś tu jak obłąkaniec — krzyczała — i uderzyłeś go bez najmniejszego ostrzeżenia! Tylko przypadkiem go nie zabiłeś. To właśnie zamierzałeś zrobić!

— Może i masz rację — oznajmił spokojnie Millar. — To właśnie zrobię następnym razem, jeśli złapię cię siedzącą nago razem z tym niby artystą!

Skąpo ubrana, podobnie jak i inne kobiety, Anya spłonęła rumieńcem.

— Ty zbereźniku! — wrzasnęła na niego.

Kapitan Dawson uniósł głos, przekrzykując paplaninę głosów, która zerwała się ze strony kłócących się Phillipsów i podekscytowanych gości.

— Sugeruję, aby wszyscy państwo wrócili do głównego salonu, aby oszczędzić panu Canby'emu dalszych niewygód i przerwać tę nieprzyjemną dyskusję. Oczywiście, za aprobatą pana Phillipsa.

George Phillips, dosłyszał w gwarze swoje nazwisko. Skinął automatycznie głową.

— Oczywiście. Oczywiście, kapitanie!

Niechętny ruch tych, którzy stali najbliżej drzwi, dodał mu odwagi i zaczął ich wyprowadzać.

Kiedy wszyscy już wyszli, kapitan Dawson został sam z doktorem Bronsonem i Canbym. Artysta siedział teraz na swojej ławce do rysowania, z oczyma utkwionymi w krwawy ślad na podłodze.

— Wszystko będzie z panem w porządku — stwierdził Bronson. — Myślę jednak, że lepiej zabrać pana do ambulatorium, żeby wszystko dokładnie oczyścić i przyjrzeć się tym rozcięciom.

— Nic mi nie jest — warknął artysta. — Po prostu dajcie mi spokój…

Potem, jakby nagle zdał sobie sprawę ze zmieniającej się pozycji gwiazdy.

— Przesuwamy się! — krzyknął. — Odlatujemy od gwiazdy… mój obraz… Co pan zrobił? Żądam, aby natychmiast skierował pan statek z powrotem na poprzednią orbitę!

— Przykro mi — odparł Dawson, — maszyny zostały przeciążone do granic możliwości. Nie mogę pozwolić na to, by statek został dłużej tak blisko gwiazdy.

Artysta wpatrywał się w z wolna kurczący się dysk karłowatej gwiazdy, tak jakby utracony raj na zawsze wyślizgiwał mu się z rąk.

Potem odwrócił się w stronę kapitana Dawsona, z twarzą wykrzywioną wściekłością.

— Niech was diabli wezmą! Niech was diabli wezmą! Nienawidzę was wszystkich do szpiku kości! Wy wstrętne, wypchane pieniędzmi szumowiny!

Mówili mu, że tak to się skończy, myślał kapitan Dawson, idąc z powrotem na mostek. Wszyscy jego przyjaciele z Ziemskich Linii Kosmicznych ostrzegali go, że lepiej będzie gdzieś się osiedlić na resztę życia, na jakiejś małej farmie z kurami, zamiast zaciągać się do Floty Złotych Talerzy.

Z każdego zakątka wszechświata, emerytowani zawodowi marynarze, zwozili historie o szaleństwach mających miejsce na pokładach tych statków.

Zastanawiał się, czy któraś z nich mogłaby przebić to co się dzieje na *Westphalii*. Wyglądało to tak, jakby każdy na pokładzie tego statku nienawidził wszystkich pozostałych – włączając w to samego siebie. Anya i pani Phillips miały bardzo szczególne zasoby animozji do niego, i chociaż zazwyczaj był bardzo pokojowo usposobionym człowiekiem, który naprawdę lubił swych współbliźnich, chętnie wypchnąłby je przez otwarty właz, gdyby myślał że mu się to jakoś upiecze.

George Phillips był człowiekiem pogardzonym przez swoją żonę i dwie starsze córki, i dawno temu zrezygnował już z walki z nimi.

Anya próbowała się kręcić koło Roala Canby'ego, co tworzyło śliczny trójkącik z jej mężem Millarem. Średnia córka, Roene ledwie wzięła na pokład swego czwartego męża Omara, a ten już zaczął sterować w stronę Irene – która odrzuciła jego awanse w bardzo niephillipsowski sposób.

Kapitan odwiesił czapkę i zatonął w fotelu za kapitańskim biurkiem. Animozje między pasażerami martwiły go. Jeśli stanie się coś poważnego, odbije się to na nim tak samo, jak na rodzinie Phillipsów. W oczach kolegów marynarzy, to on był odpowiedzialny za wszystko, co się dzieje na pokładzie jego statku.

Miał dobrą opinię i nawet jeśli był już za stary na rejsy komercyjne, nie chciał by została ona zepsuta przez jakieś rodzinne kłótnie na pokładzie Złotego Talerza. Pomimo tego, że osobiście lubił George'a Phillipsa, pozostanie tutaj będzie niemożliwe. Zaraz kiedy tylko zawiną do portu w domu, będzie musiał złożyć swą funkcję. Pomimo wszystko, może ta farma z kurami nie była takim złym pomysłem.

Tymczasem miał do dokończenia ten rejs – w taki sposób by nikt nie zginął, jak to prorokował George.

Sprawdził dziennik okrętowy i wezwał nawigatora.

Oficer był porządnie wyglądającym młodzieńcem, który nazywał się Ralph Hill. Był to jego pierwszy rejs. Zazwyczaj marynarze nie rozpoczynali pracy od Floty Złotych Talerzy. Ale czasy były trudne,

zwłaszcza na pewnych technicznych stanowiskach, i Hill był zadowolony tym, że dostał się na *Westphalię*, po ponad sześciu miesiącach od otrzymania patentu, spędzonych na kręceniu się wokół firm komercyjnych.

Kapitan Dawson odpowiedział na jego salut i wskazał mu ręką krzesło.

— Wie pan już o tym zamieszaniu, parę minut temu? Gdybyśmy tylko mogli, chętnie bym wylądował i pozwolił tym Złotym Talerzom wyrzucić z siebie trochę energii gdzieś poza statkiem, zamiast bicia wszystkich dokoła. Ile czasu zajmie nam jeszcze sprawdzanie wskazanej przez Canby'ego lokalizacji tej jego domniemanej planety, tak byśmy mogli wynieść się stąd w jakieś prawdziwe i choć na wpół cywilizowane miejsce?

Nawigator przesunął po blacie biurka tabliczkę z podpiętą kartką.

— Obliczyłem to natychmiast, kiedy tylko polecił pan zmianę kursu. Mniej więcej czterdzieści osiem godzin, biorąc pod uwagę odpowiednią odległość potrzebną do oblecenia gwiazdy.

Dawson skinął głową z aprobatą.

— Dobra robota. Dziękuję. To wszystko. I… hmm, panie Hill, mam zamiar podać się do dymisji, jak tylko wrócimy do domu. Pomyślałem sobie, że może chciałby pan o tym wiedzieć. Pańska reputacja znajduje się na znacznie bardziej krytycznym etapie, niż moja – czy też reszty z nas – przekraczających wiek.

Oficer wstał, zawahał się, a następnie powiedział:

— Szkoda, że podjął pan taką decyzję, jeśli wolno mi wyrazić swoją opinię. Wydaje mi się, że jest pan tu naprawdę potrzebny. Sądzę, że George… pan Phillips bardzo pana potrzebuje.

Dawson uniósł na niego wzrok ze zdziwieniem.

— Czemu pan tak bardzo zainteresował się tym towarzystwem Złotego Talerza?

Hill zarumienił się.

— Dosyć mocno zaprzyjaźniłem się z panną Phillips – z Irene. To przyzwoita dziewczyna, i ona twierdzi, że jest pan jedynym przyjacielem jej ojca, niemal. Często mi o tym mówiła.

— Rozumiem… rozumiem. No cóż, dziękuję…

— Dziękuję, panie kapitanie — Hill dziarsko zasalutował i wyszedł.

Kiedy nawigator znalazł się za drzwiami, Dawson uśmiechnął się. Przyjemnie było patrzeć, jak młodzi się kochają. Miał nadzieję, że Hill dogada się z Irene. Była jedyną ze szczepu Phillipsów, wartą zawracania sobie głowy, poza swoim ojcem, oczywiście.

Natomiast nie było nic wesołego w jego sugerowanych zobowiązaniach względem George'a Phillipsa. Nie był nic winien temu człowiekowi, pomyślał, i nie mógł sobie pozwolić na dowodzenie statkiem Złotych Talerzy, przewożącym tak potencjalnie wybuchowy materiał, jakim były Kobiety Phillips.

A może jednak?

Pamiętał partie pokera, długie rozmowy, spokojną wymianę zaufania między nim a Georgem, podczas tych długich nocy między Ziemią i Marsem.

Zastanawiał się, ilu ludzi George mógłby nazwać przyjaciółmi. Na jego poziomie socjalnym, nie ma się przyjaciół. Ma się znajomych i partnerów biznesowych – rywali, którzy wbiliby mu nóż w plecy za parę groszy. Nie mógł więc zebrać zbyt wielu przyjaciół.

Do diabła z tym wszystkim, pomyślał Dawson. George był jego przyjacielem, nie tylko pracodawcą, a męska przyjaźń była warta więcej niż reputacja zawodowa. Ralph i Irene także będą potrzebowali pomocy. Mama Phillips może wybuchnąć z siłą huraganu, kiedy tylko odkryje ich zamiary. Zwykły nawigator nie ma takiej pozycji towarzyskiej i wyrafinowania, jakiego oczekiwała od zięcia Phillipsa.

Dwadzieścia cztery godziny później, Dawson i George siedzieli w biurze, tuż koło mostka, kiedy poszukiwania zakończyły się sukcesem. Kapitan podszedł szybko do peryskopu radarowego i wyciągnął mały wizjer. Dostrzegł niewielką, jasną plamkę, błyszczącą jak jarmarczny pierścionek w oślepiającym świetle Donophana 1210.

Przekazał wizjer George'owi, mówiąc powoli:

— Nie mogę w to uwierzyć! Nigdy bym nie pomyślał, że znajdziemy tę przeklętą planetę, w tej pogoni za widmami, w którą posłał nas Canby.

— Ale teraz mamy ją tuż przed nami. Ciekawe co jeszcze uda nam się znaleźć.

— No cóż, z pewnością, nie kryształ młodości i nieśmiertelności, jak twierdzi Canby — roześmiał się Dawson. — Ta historia musi się gdzieś wysypać. W przeciwnym razie, pomyśl tylko że twoje Kobiety, stają się nieśmiertelne i młode!

George nie roześmiał się, a coś w jego twarzy sprawiło, że Dawson nagle poczuł się zawstydzony. George był smutny.

— To mogłoby nie być wcale takie złe – gdyby stały się młode i nieśmiertelne. Sandra, kiedy była młoda, była przyzwoitą kobietą. Byłem w niej strasznie zakochany, a ona wtedy mnie również kochała. Po tym, kiedy człowiek doszedł już do kresu swego życia i spogląda wstecz, chętnie by je przeżył ponownie i zobaczył, czy czegoś w nim nie udałoby się poprawić.

— Gdybym był młodym człowiekiem, rozpoczynającym wszystko od nowa, posłałbym do diabła dziewięćdziesiąt procent tego, co wtedy wydawało mi się takie ważne. Poświęcałbym więcej uwagi Sandrze, dzięki czemu moglibyśmy zachować naszą miłość, nie pozwalając by zmieniła się ona w zgorzknienie. Ty jednak uważasz to za niemożliwe, co?

— Nie wiem. Kiedy byłem młody, nigdzie nie zagrzałem miejsca na tyle długo, aby znaleźć sobie dziewczynę.

— Można tego dokonać — poważnie oznajmił George. — Wiem, że można. Sandra i ja moglibyśmy to zrobić. Nawet Anya, kiedy była młoda, była dobrym dzieckiem. Nie musiałby zostać taką suką, jak to się stało.

Irene nie pójdzie jednak tą drogą. Ona i Ralph wiedzą, co jest istotne. Nie pozwolą zepchnąć się na boczne tory, jak reszta z nas. Przyglądałem się im.

— Nawet nie wiedziałem, że o nich wiesz.

— Okaż mi odrobinę zaufania. Być może kiepsko sobie radzę z Kobietami, ale nie jestem znów takim skończonym głupcem!

Zaprosili Roala Canby'ego na mostek, aby zobaczył planetę i przekazał sugestie odnośnie lądowania. Miał przecież ponoć potajemne informacje, których ujawnienia odmawiał, dopóki nie odnajdą planety.

Wkrótce przyszedł, szczupły, nerwowy człowiek z rzadkim wąsikiem i oczyma podejrzliwie biegającymi z miejsca na miejsce, i z osoby na osobę.

— Zgadza się – dokładnie taka, jak mi to opisywano.

Ciężko odetchnął z podekscytowaniem, spoglądając z góry na planetę, do której ich doprowadził.

— To jest w dolinie, w wąskiej dolinie w kryształowych górach, jedyne miejsce w którym one żyją, na całej planecie. Poznamy ją, kiedy ją zobaczymy, ponieważ reszta powierzchni usiana jest rozbitymi kryształami, jakby odłamkami szkła. To jedyna długa dolina, otoczona nierozbitymi szczytami z kryształu.

W oczach tego człowieka widać było fanatyczną potrzebę, budzącą w Dawsonie lekki niepokój. Artysta naprawdę sądził, że gdzieś tam na dole znajdzie realny Kryształ Życia. Przekroczył tę cienką linię, oddzielającą światy iluzji i rzeczywistości.

Dawson przyznawał jednak, że musiał tę historię uzyskać z jakiegoś autentycznego źródła. Statek przesuwał się ponad oświetloną przez słońce stroną planety, w kierunku zachodnim, a przez teleskopy jej powierzchnia wyglądała jak ogromne pole odłamków szkła. Wszędzie zalegały rozbite kawałki kryształów i nigdzie nie było śladu innych formacji geologicznych.

— To krzemowa planeta — wyjaśnił Canby. — Nie ma tu węgla. Nic, tylko związki krzemu. Nawet żywe istoty.

— Jakże tam na dole, mogłoby istnieć życie? — warknął Dawson, ostrzej niż zamierzał.

— Zobaczy pan — odparł Canby.

— To miejsce wygląda zupełnie jałowo — wtrącił George. — Kobietom się nie spodoba. Myślały, że lecimy gdzieś, gdzie jest pełno strumieni i jezior.

— Takich jakie mogłyby oglądać, gdyby zostały na Ziemi?

— Tak mi się wydaje. Im dalej w to będziemy brnąć, tym bardziej będą chciały zobaczyć coś, co wygląda tak samo jak dom. Trudno jest je zrozumieć.

— Ale… lubią biżuterię?

— Ona płynie w ich żyłach.

— No to, popatrz. To im się spodoba — Dawson wskazał do przodu przez port widokowy.

Na tle czarnego nieba, na horyzoncie, powoli wyrastały usypane klejnotami zęby gór, jak jakaś niewiarygodna tiara. Odblask milionów perfekcyjnych faset, ustępował tylko jaskrawemu światłu niebiesko-białego słońca.

— Niewiarygodne — złapał oddech Phillips. — Ten widok sprawia, że człowiek czuje się niemal tak, jakby nie miał prawa postawić nogi w takim miejscu.

— Niemal — wymamrotał Dawson. Zdawał sobie sprawę, że Kobiety i ich goście, nie będą miały takich wątpliwości. Ich wrażliwe dusze nie zawahają się przed możliwością podniesienia czegoś, co mogło być prawdziwym kamieniem szlachetnym.

— Oto jest to miejsce! — zawołał Canby. — W tych górach znajduje się Kryształowa Dolina, dokładnie tak jak mi i mówiono…

Żeby wykorzystać całą listę pasażerów, zdecydowano się podzielić grupę na dwa zespoły eksploracyjne. Lista członków pierwszego z nich, została ostatecznie ustalona na kapitana Dawsona, Phillipsów oraz mężów Anyi i Roene. Poprowadzić miał ich, oczywiście, Roal Canby, na podstawie wskazówek ze znanej sobie legendy. Dawson zabrał ponadto ze sobą, jako swego osobistego asystenta, nawigatora Hilla – ze względu na Irene.

Oczywiście, lista była głównie wynikiem pracy Sandry Phillips. George przyniósł ją na mostek, a Dawson zatwierdził skinięciem głowy.

— Każ im, żeby zeszli do śluzy i zaczęli zakładać skafandry. Jenkins będzie ich nadzorował i sprawdzi ubiory. Hill, niech pan idzie z panem Phillipsem i pomoże w ubieraniu.

— Tak jest, panie kapitanie. I… ehmm… dziękuję za wzięcie mnie ze sobą. — Nawigator zatrzymał się tylko na tyle, by powiedzieć kilka słów Dawsonowi.

— Nie wiem zbyt wiele o tego typu sprawach, ale może to być miejsce, które oboje z Irene uznacie za warte zapamiętania — odparł kapitan.

— Będzie, panie kapitanie. Będzie.

Dawson odwrócił się z powrotem do portu widokowego, aby obserwować lądowanie. Planeta pod nimi stanowiła krainę rozdzierających kontrastów. Niebo było czarne, całkowitą czernią kosmosu, poza gorejącym słońcem. Z każdej fasety na planecie, błyskały olśniewające odbicia światła Donophana.

Statek w długim szybowaniu, schodził po łuku w dół, wiązki hamujące spowalniały szybkość jego opadania. Prosto przed nim, znajdowało się wąskie gardło długiego, wijącego się kanionu, nazwanego Kryształową Doliną. Wydawało się, że tylko w niej istnieje pewien porządek, pośród tego całego kryształowego chaosu. Postrzępione szczyty wyrastały setki stóp ponad dnem doliny. Ich nieregularność wprowadzała jedyny nieład w doskonałość układu kryształów, ustawionych starannie jeden naprzeciw drugiego, jakby przez jakieś dziecko rasy gigantów. Cały ten widok, może nawet jeszcze bardziej, przypominał sylwetkę jakiegoś fantastycznego bajkowego miasta, którego mieszkańcy byli stworzeniami ze światła,

mogącymi wlatywać i wylatywać ze swych kryształowych mieszkań, z łatwością promieni słonecznych.

Nagle, płynny, hipnotyczny ruch krajobrazu, ustał. Z delikatnym tylko wahnięciem, statek zatrzymał się, spoczywając w wejściu do doliny. Pilot szybko wyłączył potężne silniki i zabezpieczył klamry mocujące do podłoża.

— Pan Jenkins przejmuje dowodzenie — powiedział Dawson. Odwrócił się do oficera łączności. — Proszę utrzymywać otwarty kanał. W razie jakichkolwiek nagłych wypadków, będziemy was na nim wywoływać. Powinniśmy być na zewnątrz nie więcej niż trzy godziny. Jeżeli do tej pory nie wrócimy, proszę połączyć się z nami i sprawdzić co się dzieje.

Zszedł do pomieszczenia ze skafandrami, przyległego do śluzy powietrznej, prowadzącej na zewnątrz statku. Większość grupy zakończyła już ubieranie się. Sprawdzani byli teraz przez marynarza odpowiedzialnego za skafandry oraz przez Jenkinsa.

— Stwierdziliśmy, że, wbrew naszym przypuszczeniom, na zewnątrz nie ma próżni — powiedział Jenkins. — Panuje tam pewne ciśnienie. Planeta ma atmosferę.

— W takim razie, czemu niebo jest takie czarne? Nie ma żadnych pyłów – gaz doskonały nie rozprasza cząsteczek. Myślę, że w takim miejscu, to jest możliwe. Co to za gaz?

— Głównie azot i argon. Nic nadającego się do oddychania.

Dawson szybko założył swój skafander. Włączył znajdujący się w nim komunikator i sprawdził z osobami obsługującymi, obwody oraz kanały.

Kiedy grupa wchodziła do śluzy, pierwszy oficer zasalutował. Podczas oczekiwania na opróżnienie komory z powietrza, aby oszczędzać zapasy tlenu, Dawson musiał wysłuchiwać gderliwej paplaniny pełnej skarg i oskarżeń. Skafander pani Phillips nie pasował na nią. Anya w swoim czuła się zdecydowanie podduszona. Stojący obok niej Millar rzucał kwaśne spojrzenia na artystę, Canby'ego, i skarżył się na nieprzyjemną wilgotność swojego zapasu powietrza. Canby wypłakiwał swe żale, że przyłbica jego hełmu zaburzała mu widok, tak że straci emocjonalną perspektywę kryształowej planety.

Artysta objuczony był zestawem materiałów do szkicowania, zaś reszta miała sprzęt fotograficzny i torby na pamiątki, tak jak zawsze i wszędzie turyści. Wygląda na to, że dla wszystkich będzie to dobra wycieczka, pomyślał Dawson – oczywiście jeśli ktoś kogoś nie zabije, zanim wrócą na statek.

Zewnętrzny właz śluzy otworzył się gwałtownie i komorę wypełniła z sykiem rzadka, obca atmosfera. Grupa zeskoczyła niezgrabnie na powierzchnię kryształowej planety.

— George, dlaczego nie mamy tu kilku stopni? — skarżyła się pani Phillips.

— Dopilnuję, żeby je zamontowano — odparł z roztargnieniem George, nie zwracając uwagi na skargi i żądania swej współmałżonki.

Stał wpatrując się w odległe, błyszczące góry, bajkowe miasto na tle hebanowego nieba. Wspaniała, groźna sceneria spowodowała, że jak na komendę wszyscy stanęli, zapominając o żalach i władczych żądaniach. Chociaż raz, Sandra Phillips, została powstrzymana przez coś, czego nie mogła ani zrozumieć, ani temu rozkazywać.

Świadomość, że taki strach istnieje w jej duszy, wywołała u niej niepokój.

— No cóż, panie kapitanie, chodźmy już — domagała się opryskliwie.

— Natychmiast — odparł. — Chciałbym tylko wszystkich państwa ostrzec, żeby patrzyli państwo pod nogi. To podłoże, po którym idziemy, jest ostre jak szkło, i niemal równie twarde jak diament. Może przeciąć tkaninę skafandra.

Szli więc bardzo ostrożnymi, niezgrabnymi krokami, jak ludzie brnący w głębokim śniegu. Od czasu do czasu robili przerwy, aby wycelować w coś obiektywy aparatów. Canby trzymał w dłoni szkicownik i podczas marszu coś w nim gwałtownie rysował, nawet pomimo tego, że ręce miał owinięte w grube rękawice skafandra.

Millar i Anya, nie rozmawiali ze sobą. Maszerowali z osobna, jakby obawiając się dotknąć. Ralph i Irene nie szli na tyle blisko siebie, żeby mogło to zaniepokoić panią Phillips, ale przełączyli radia swoich skafandrów na prywatną częstotliwość. Inni nie mogli jej odbierać – poza Dawsonem, który wiedział jak się do niej dostroić. Podsłuchiwał bezwstydnie ich paplaninę, ponieważ były to jedyne przyjemne dźwięki, jakie miał do dyspozycji.

Raptem Anya krzyknęła swym ostrym, nieprzyjemnym głosem:

— Coś się poruszyło! Tam na górze, jest coś żywego!

Wzrok Dawsona spoczywał właśnie na wysokich, kryształowych szczytach, ale szybko przesunął go w stronę, w którą wskazywał wyciągnięty palec Anyi. Tam, między dwoma podobnymi do głazów masami spękanego kryształu, dostrzegł jakieś poruszające się postaci.

Postaci, podobnie jak wszystko, co ich otaczało, ledwie były widoczne na tle innych kryształów, i myliły mu wzrok. Wychwycił tylko ich ruch, gwałtowne, oślepiające odbicia, które zamigotały i zamarły. Nie był jednak w stanie rozpoznać kształtu ani rozmiarów, poruszających się obiektów.

— Niech państwo tu zaczekają — polecił.

— Pójdę z panem — powiedział Canby. — Te stworzenia są nieszkodliwe. Widziałem ludzi, którzy z nim rozmawiali.

— Proszę bardzo. — Dawson nie wiedział na ile miał zamiar uwierzyć w tę fantastyczną historię Canby'ego, ale spieranie się w tej chwili z artystą, miało niewielki sens.

Poszli dalej razem. Dawson nie uważał za niezbędne, by wziąć ze sobą broń. Teraz, niemalże tego pożałował.

Przełączył się na częstotliwość statku i powiedział szybko do nadajnika:

— Jenkins?

— Tak jest, panie kapitanie.

— Czy dostrzegł pan ten ruch z przodu? Być może przez teleskop uda się to panu zobaczyć lepiej niż nam. Przed nami jest coś, co może być

żywe. Proszę przygotować się do ubezpieczenia grupy, jeśli będzie to konieczne.

— Widzę ich. Są z kryształu, jak wszystko tutaj. Mają swego rodzaju antropomorficzną postać, ze zwariowanymi, przerysowanymi stawami rąk i nóg. Coś co wygląda jak głowa, złożone jest z jednego, wielkiego kryształu. Mają…

— Tak! Teraz ja również ich widzę. Zbliżają się do nas. Jest ich czworo.

Kryształomorfy posuwały się do przodu, nie kryjąc się. W ich ruchach, zamiast spodziewanej śmiesznej sztywności, widoczny był wdzięk i gracja. Z gładkością doskonale wytrenowanych mięśni, impulsy ruchowe pokonywały całą długość ich kryształowych członków, a stworzenia rytmicznie i płynnie szły naprzód.

Zatrzymały się kilkanaście stóp przed dwoma Ziemianami. Potem jeden z nich wyszedł sam do przodu.

— Nazywam się Kor Remy — oznajmił. — Nauczyłem się waszego języka, na podstawie myśli z waszych mózgów.

— Odbiór telepatyczny — wymruczał Canby. — Mówiono mi, że w ten sposób się to właśnie odbywa. One potrafią mówić językiem dowolnego stworzenia, które znajdzie się w pobliżu nich.

Już przed dwudziestu laty, Dawson tak przywykł do spotkań z marsjańskimi i wenusjańskimi szczepami, że zaczął myśleć o nich wszystkich, jako o nieco tylko odmiennych istotach ludzkich. Zapomniał już jak wygląda uczucie spotkania z innymi, bardzo obcymi istotami żywymi, które napotykali ludzie kosmosu.

Uczucie to wróciło jednak teraz, z całą jego niepewnością, gmatwaniną myśli i instynktownym strachem, który czuł kiedy był młody. Wdzięczny był za zdolności lingwistyczne kryształomorfów. Oszczędziło mu to trudnego zadania wykorzystania do komunikacji językowej mowy znaków. Została ona udoskonalona przez etnografów, stając się nauką ścisłą, ale zapomniał już większość tego, co na ten temat wiedział.

— Jesteśmy z innej planety, o nazwie Ziemia — powiedział po prostu. — Przybyliśmy tu, żeby odwiedzić was i zobaczyć jak wygląda wasza planeta. Czy udzielicie nam tego przywileju?

— To dla nas zaszczyt — odpowiedział Kor Remy. — Mieliśmy już innych gości z waszej planety, ale nie było was tutaj przez długi czas. Chodźcie za nami, pokażemy wam Kryształową Dolinę.

Odwrócił się, by poprowadzić ich szybkim tempem, ale po chwili zatrzymał się, z dziwnym wahaniem. Zwrócił się w stronę towarzyszących mu stworzeń, powoli je licząc.

— Jest nas czwórka — wyszeptał.

Dawson obserwował jego kryształową głowę, która błyszczała jak miniaturowe słońce. Nawet nie próbował się domyślać, w jaki sposób generowany był głos stworzenia, chociaż nie wydawało się to takie niewiarygodne. Wysokie, śpiewne tony pasowały do krystalicznej

struktury. Nietrudno było sobie wyobrazić, że wytwarzał je jakiś jeden wyspecjalizowany kryształ.

Teraz jednak kryształomorf policzył Ziemian.

— Jest was dziewięciu — stwierdził. — Nas również powinno być dziewięciu.

— Dlaczego? — spytał Dawson.

— Zawsze jest jeden z nas na jednego z was. Teraz, pięciu brakuje. — Odwrócił się w stronę gór i przyjrzał się im. — Widzę ich. Chowają się i obserwują nas. Coś takiego nigdy wcześniej się nie wydarzyło.

Dawson także przyjrzał się odległym zboczom. Nie widział postaci, które, jak twierdził Kor Remy, tam były.

— Być może oni nie pochwalają naszej wizyty. Lepiej będzie, jeśli nie pójdziemy dalej, skoro może to zagrażać zbezczeszczeniem waszych domów.

— Nie… nie, nie ma sprzeciwu, Musicie pójść.

Cała czwórka ruszyła dalej, nie oglądając się za siebie. Towarzysze Dawsona skupili się wokół niego.

— To bardzo zabawne stworzenia — stwierdziła pani Phillips. — Pomyślcie tylko, co to będzie gdy jedno z nich zabierzemy do domu.

— Myśli pan, że pójście z nimi jest bezpieczne, panie kapitanie? — spytał Hill. — Może nie powinniśmy ryzykować bez broni.

— Pójdziemy z nimi kawałek. Kor Ramy wydaje się być dosyć otwarty, ale nie podoba mi się ta sprawa z jego pięcioma kompanami trzymającymi się z tyłu, tak jakbyśmy spowodowali rozłam w tej grupie. Jeśli nie będziemy uważać, możemy się znaleźć w samym środku paskudnej awantury rodzinnej.

— Oczywiście, że pójdziemy dalej! — zawołał Canby. — Po to właśnie tutaj przylecieliśmy. Powinniśmy spytać ich o Kryształ Życia…

— Ja będę mówił w naszym imieniu — przypomniał mu ostro Dawson. — O tego rodzaju rzeczach nie będziemy wspominać, dopóki nie zrozumiemy lepiej ich zachowania.

Artysta nic nie odpowiedział, ale Dawson wiedział, że był gotów wystrzelić z tą kwestią – być może niebezpiecznie – jeśli wbił sobie do głowy, że tak powinien zrobić. Nie uznawał żadnej władzy, poza swoją nieposkromioną wolą.

Dawson westchnął w myślach. Nie miał zamiaru niańczyć tej bandy Złotych Talerzy włócząc się po jakiejś obcej planecie i szukając fontanny młodości. Musiałby być równie szalony jak i oni.

Ruszył, aby dogonić wycofujące się kryształomorfy. Szli między ramionami górskimi, wyrastającymi ostro z obu stron, obejmującymi ich jak jakaś okrutna i krucha matka.

W miarę kolejnych zakrętów drogi, stracili z oczu *Westphalię*. Bezpośrednie światło słońca także zniknęło, ale ściany bo obu bokach zdawały budzić się do życia, świecąc swym własnym blaskiem. Promienie słoneczne padały na wznoszące się nad nimi wierzchołki wielkich

kryształów i spływały po nich na dno doliny. Wydawało się, że Ziemianie zanurzyli się w świat światła, który migotał i wibrował swym własnym życiem.

I wtedy, usłyszeli śpiew.

Canby usłyszał go jako pierwszy i zatrzymał się jak wryty, a szyja wyciągnęła mu się do góry, jak gdyby jego całe ciało wyrywało się w stronę dochodzących do nich dźwięków.

— Co to jest? — zawołała pani Phillips. W jej głosie słychać było ton strachu przed czymś dla niej niezrozumiałym, a zbyt dojmującym, by mogła to znieść.

— Drgania wytwarzane przez kryształy — wyjaśnił Hill. Jego dłoń trzymała obecnie dłoń Irene, dzieliły ich tylko potężne rękawice ich skafandrów. — Ciekawe, czy to nie może być niebezpieczne. Wszystkie te odłamki tam za nami – to pokruszone, rozbite kryształy.

Kapitan Dawson spojrzał w górę na wierzchołki wznoszących się nad nimi ścian światła i popatrzył po nich z niepokojem. Nigdzie nie było widać źródła melodyjnych tonów, wypełniających powietrze wokół nich. Tak jakby każdy z kryształów wygrywał swą własną nutę, a dźwięk narastał i przetaczał się w potężnych, harmonicznych akordach, a potem płynął wąskim wąwozem, jak rzeka migoczącej muzyki.

— To cudowne! — westchnęła Irene. — Niemal mogłoby to zahipnotyzować człowieka, powodując, że będzie tak stał tutaj zasłuchany przez wieczność.

To prawda, pomyślał Dawson, i pomysł ten wywołał u niego lekki, zimny dreszcz. Potrafił zaakceptować Wenusjan, wśród jego przyjaciół byli także Marsjanie, ale zrozumienie tych fantastycznych, śpiewających kryształomorfów, przekraczało jego możliwości. Ich muzyka brzmiała w jego uszach złowieszczo, a groźba wplątania w jakieś ich wewnętrzne kłótnie ciągle nie mijała. Jeśli ta kultura była stara, to każdy z nich mógł zrobić rzecz, która ugodzi w coś, co dla nich było najważniejsze, pomyślał sobie.

— Wracamy — oznajmił. — Zanim zaryzykujemy tutaj wyprawę pieszą, musimy najpierw przeprowadzić rekonesans przy pomocy szalupy. Nie ma sensu…

— Idziemy dalej! — krzyknął Canby. — Chcę się dowiedzieć, czym jest Kryształ Życia. Nie pokonaliśmy przecież dwu galaktyk i nie dotarliśmy tak blisko celu, żeby teraz zawrócić. Ja idę dalej!

Odwrócił się i pobiegł wąwozem, mijając nawet oczekujących kryształomorfów, którzy stali zwróceni w stronę Ziemian.

— Wracaj, ty przeklęty głupcze! — zawołał za nim Dawson.

Ale Canby, który zniknął im już z oczu za ostrym zakrętem, nie odpowiadał. Komunikator jego skafandra milczał.

Kapitan rozkazał Hillowi.

— Odprowadzi pan grupę z powrotem na statek. Ja pójdę za tym zwariowanym głupcem.

Pozostali zawrócili niechętnie, ich wzrok nieodparcie przyciągały szczyty, które wydawały się zapadać w spoczynek, na tle czarnego jak noc nieba. Melodyjny grzmot akordów o wysokich tonach narastał i opadał, a następnie ponownie wzbierał we wtórnym rytmie własnej pieśni.

Nagle Irene krzyknęła i pokazała ręką w stronę kryształów wznoszących się kawałek drogi za nimi, w kierunku wyjścia z doliny.

Dawson złapał głęboki oddech. Trzy delikatne minarety wyraźnie drżały. Ich kawałki spadały na dno doliny. Potem, na ich przerażonych oczach, cała konstrukcja przechyliła się w stronę wąskiego przejścia, przez które niedawno przyszli.

Jak jasna lawina lodowa, na chwilę rozbłyskująca blaskiem promieni słońca, a potem płynąca w dół, dziesięć tysięcy rozszczepionych kryształowych ostrzy runęło na dno, z przeciągłym jękiem, który powtarzany przez echo przetaczał się w górę i w dół doliny, aż w końcu zamarł w oddali pozostawiając ich w śmiertelnej ciszy.

— Natychmiast stąd wychodzimy! — rozległ się krzyk Anyi. — Całe to miejsce zaraz zwali nam się na głowy!

— Nie możecie zawrócić. — Kor Remy niespodziewanie znalazł się tuż koło nich. — Moi bracia powiedzieli, że nie wolno pozwolić wam na powrót. Nie rozumiem.

Dźwięk zabrzmiał na nowo, tak słabo, że ledwie było go słychać. Była to pojedyncza nuta, tak jakby grana na jednej strunie. Przerwała ona ciszę, po chwili dołączyła się do niej następna, potem dwie kolejne, aż w końcu cała gwałtowna pieśń ponownie wypełniła powietrze wokół nich.

Nie była już przyjemna. Kiedy tak stali i spoglądali na kryształowe ściany, które potrafiła rozdzierać, brzmiała dla nich jak pieśń śmierci.

— Oni są tam w górze — powiedział Kor Remy. — Śpiewają, by sprowadzić śmierć. Zamknęli przejście, którym się tutaj dostaliście. Nie możecie wrócić.

— Połączymy się z Jenkinsem, żeby zabrał nas po kolei, szalupą — oznajmił Dawson. Przełączył się na częstotliwość statku i spróbował wywołać pierwszego oficera. — Jenkins, niech pan wyśle szalupę nad dolinę, Znaleźliśmy się w pułapce, po zawaleniu się skał u wejścia do niej.

Czekał. W słuchawkach nie odzywały się żadne pokrzepiające słowa.

— Jenkins! Tu Dawson, wzywam *Westphalię*. Czy mnie słyszycie? Odezwijcie się!

Hill również nasłuchiwał. Popatrzył z zaskoczeniem w twarz kapitana.

— Radio jest martwe. To pewnie przez te kryształowe ściany. Niczego nie przepuszczają. Musielibyśmy mieć możliwość transmisji po liniach prostych, która by je omijała!

— Ma pan rację. — Dawson ponownie zwrócił się do kryształomorfa. — Czy z doliny można wydostać się drugim końcem? Czy jest z niej w ogóle jakaś inna droga wyjścia?

— Droga wyjścia? Tak, jest sposób ucieczki przed tymi wszystkimi zagrożeniami i kłopotami. Kryształ Życia.

Określenie, które tak często słyszeli z ust Canby'ego, uderzyło obecnie Dawsona, ze wstrząsem i niewiarą. Teraz jednak nie było czasu na wypytywanie o tę tajemniczą rzecz.

— Chcemy wrócić na nasz statek — powiedział. — Nie obchodzi nas żaden kryształ. Chcemy znaleźć drogę wyjścia z doliny.

— Musicie pójść z nami. Pokażemy wam kryształ. — Spojrzał ponownie w górę. — Nie rozumiem, dlaczego chcecie umrzeć…

— Co on chciał przez to powiedzieć? — spytał George, kiedy Kor Remy odwrócił się od nich.

— Nie wiem. Ich procesy myślowe dla mnie w ogóle nie mają sensu.

— Może jeden z nas mógłby przedostać się przez tę barierę? Pewnie udałoby mu się dostać w zasięg widoczności statku…

— Nie da rady pokonać tego stosu ostrych jak brzytwa odłamków. Każdy, kto tego spróbuje zapadnie się w niego i poprzecina sobie skafander na strzępy.

Hill wskazał na wieże wznoszące się prosto nad nimi, podczas gdy muzyka zaczęła narastać w przerażającym crescendo.

— Spójrzcie tam!

Szarpnął ostro Irene i pobiegli w kierunku wyżej położonej części doliny.

Pozostali powiedli wzrokiem za jego przerażonym spojrzeniem i zobaczyli, że wielka jak góra masa kryształu załamuje się prosto na nich. Deszcz pierwszych odłamków zastukał dookoła, uderzając niebezpiecznie w ich skafandry.

— Uciekać! Biegiem! — ryknął Dawson.

Zaklął, widząc ogłupiający ich, paraliżujący strach, i to przełamało zaklęcie. Ruszyli biegiem, a za nimi masa kryształu z hukiem uderzyła w miejsce, w którym przed chwilą stali, wypełniając dolinę morderczymi odłamkami. Powstał wał o długości stu stóp, odcinający ich bezpowrotnie od drogi, którą przyszli.

Widok śmierci, której właśnie o włos uniknęli, był fascynujący. Światło ze ścian, przenosiło się przez stos kryształowego gruzu, aż cały zaczął świecić, tak jakby w jego wnętrzu płonęły jakieś piekielne ognie.

W tym świetle nie było jednak ciepła. Było ono zimne, wręcz mroźne, jak czarne niebo nad ich głowami, i złowieszcze – jak nowa, narastająca muzyka, która zaczęła huczeć im w uszach.

Pani Phillips załamała się. Nagle zaczęła krzyczeć na Dawsona:

— Sprowadził pan nas tutaj, na śmierć! Musi pan znaleźć jakąś drogę ucieczki! Zmusić ich, żeby nas wypuścili!

Dawson popatrzył w górę doliny, gdzie zniknęli Canby i kryształomorfy. Następnie rozejrzał się w górze, próbując dostrzec stworzenia, które jak mówił Kor Remy, postanowiły ich zniszczyć. Nie udało mu się niczego zauważyć na rozświetlonych ścianach. Zastanawiał się także, o co chodziło kryształomorfowi, kiedy powiedział, że nie może zrozumieć, dlaczego

Ziemianie chcą umrzeć. Nic z tego wszystkiego nie miało najmniejszego sensu.

— Równie dobrze możemy pójść w górę doliny — powiedział. — Sterczenie tutaj, nic nam nie da, a tam może uda się znaleźć jakieś przejście, albo miejsce w którym będzie można wspiąć się na skały.

Podążali za nim, pełni obaw i niechęci, ale już sam fakt dalszej wędrówki, wyrwał ich z okowów strachu i histerii.

Kryształomorfy wydawały się być zupełnie głupie, pomyślał Dawson podczas marszu. Kor Remy nie okazywał żadnego zrozumienia dla planów ucieczki Ziemian z doliny! Był tylko lekko zaintrygowany działaniami swych towarzyszy na kryształowych skałach. Nie demonstrował też żadnej wrogości ze swojej strony. Był tylko zaintrygowany – poza tym całkowicie obojętny.

Nigdzie nie było widać śladów żadnych artefaktów, czy miejsc zamieszkania. W ogóle nic nie wskazywało na to, że na planecie istnieje życie – poza obecnością samych kryształomorfów.

Dawson nawet poważnie wątpił, czy one były tak naprawdę istotami żywymi. Jakaś fantastyczne połączenie efektów foto- i piezoelektrycznych przy występowaniu intensywnego promieniowania Donophana, mogło może wyjaśniać to pseudożycie w kryształach.

Kiedy szli coraz dalej, grzmiąca muzyka kryształów zaczęła stopniowo słabnąć. Ściany po obu stronach doliny zmieniały swój charakter, wznosząc się pod łagodniejszym kątem i stając się coraz bardziej masywne.

— Te skały mają inną częstotliwość drgań — zasugerował Millar Croatan. — Być może tutaj będziemy bezpieczniejsi, ponieważ nie są one w stanie powodować ich zawałów.

— Niewykluczone. A może uda nam się na nie wspiąć. Gdyby ktoś z nas zdołał wejść na górę, może będzie mógł zobaczyć statek i nawiązać z nim kontakt. Rozglądajcie się państwo za najlepszym miejscem, żeby tego spróbować i…

Słowa Dawsona przerwał nagły wrzask, który buchnął ze słuchawek komunikatorów w ich hełmach.

— Na pomoc! To pali! Och, wypuśćcie mnie… — Był to szaleńczy, przerażony krzyk Roala Canby'ego.

Hill wskazał ręką do przodu. Dolina stała się teraz zupełnie prosta. W oddali widać było jakąś postać.

— Dopadli go! — zawołał Hill.

— Idziemy, Hill – reszta zostaje tutaj — rozkazał Dawson.

Zerwali się niezgrabnym biegiem, przytłoczeni ciężarem swych skafandrów, ale szybko pozostawili pozostałych z tyłu. Kiedy zbliżyli się do Canby'ego, dostrzegli, że leży on rozciągnięty na gigantycznej kryształowej powierzchni, tworzącej błyszczący stół – czy też ołtarz. Na nim leżały dwa inne kryształy o idealnym szlifie facet, w taki sposób, że nie mógł się wyrwać.

Przez wnętrza tych kamieni spływało wychwytywane światło słońca, skupiając się dokładnie na nim, tworząc prawdziwe piekło płomieni.

Kryształy stanowiły ogromne soczewki, z morderczą intensywnością zalewające energią słoneczną, nieruchomą teraz postać. Od chwili pierwszego krzyku, Canby się nie odzywał.

— One palą go we wnętrzu jego skafandra — wydyszał Hill.

Odtoczyli na bok gigantyczne kryształy i zajrzeli przez przyłbicę hełmu. Z głowy zgorzkniałego, ekscentrycznego artysty, pozostał czarny, skurczony kształt, który wywołał u marynarzy nagły atak mdłości. Canby został dosłownie upieczony przez intensywne promienie słoneczne.

— Ta powłoka nie ma żadnego znaczenia — nagle odezwał się jakiś głos.

Unieśli wzrok znad skafandra. Niedaleko nich, kawałek drogi w górę zbocza, stał jeden z kryształomorfów.

— Jestem Roal Canby — oświadczył. — To co tam widzicie, to nietrwała powłoka, którą zrzuciłem z siebie bezpowrotnie. Osiągnąłem nieśmiertelność, o której zawsze marzyłem, a z której wy drwiliście. Istota, będąca Roalem Canbym, została obecnie umieszczona na zawsze w sercu tego wiecznego kryształu.

W tej chwili dotarli do nich pozostali. Usłyszeli ostatnie słowa i przyjęli je ze zdumieniem i niedowierzaniem. Potem podeszli, by obejrzeć ohydne resztki znajdujące się w skafandrze.

— Nie płaczcie, ani nie żałujcie tego ciała, które tam leży — gwałtownie powiedział kryształomorf. — Litujcie się nad sobą. To jest możliwość, o której nawet nie marzyłem. Przez dwadzieścia lat byłem zwierzątkiem domowym was, wyrafinowanych obywateli, mecenasów sztuki – którzy w całym swym życiu nigdy nie czuli żadnej prawdziwej, nieupiększonej emocji, poza nienawiścią.

— Przez dwadzieścia lat czołgałem się, by uzyskać wasz patronat, zdobywać środki do życia pozwalające mi podążać za moją sztuką. Teraz, w pewien sposób, mogę wam odpłacić za lata płaszczenia się na waszych herbatkach, waszych przyjęciach, gdzie służyłem za zabawny wybryk natury.

Jego wygłaszana wysokim tonem przemowa, zakończyła się nieludzkim śmiechem i kryształomorf, przechowujący w sobie osobowość Roala Canby'ego, błyskawicznie odwrócił się i pomknął po skałach w górę zbocza.

Stali jak zahipnotyzowani, dopóki nie zniknął, a potem powoli odwrócili się twarzami do siebie.

— To niewiarygodne — wymamrotał George. — Canby – zmienił się w to coś. Jak myślicie, o co mu chodziło z tymi groźbami?

— Przypuszczam, że połączy siły z tymi, którzy próbują przy pomocy drgań przywalić nas ścianami — odparł Dawson. Popatrzył jeszcze raz na luźny skafander kosmiczny, w którym znajdowało się już tylko spalone ciało.

Wszedł za kryształowy ołtarz, znikając na chwilę, a następnie wrócił.

— Dolna ciągnie się do tego miejsca. Za kryształem jest jej zamknięty koniec. Musimy gdzieś tu spróbować wspiąć się na zbocze.

Dostrzegli nagły ruch, prawie niewidoczny na szerszym obszarze zamkniętego końca doliny. Ziemianie rozpoznali czterech kryształomorfów, którzy ich tutaj sprowadzili. Przez cały ten czas stali w milczeniu koło ściany.

Roene i Anya krzyknęły ze strachu, kiedy dostrzegły stojące stworzenia i cofnęły się ostro kilka kroków.

— Czy reszta z was również życzy sobie skorzystać z Kryształu Życia? — spytał Kor Remy.

— Nie — odparł stanowczo Dawson. — Absolutnie sobie tego nie życzymy. Nikt z nas. Czy to zrozumieliście?

— Zrozumieliśmy, co powiedzieliście, ale nie rozumiemy dlaczego ktoś miałby odrzucać wieczne życie. Ale wybór należy do was. Wasz towarzysz dołączył do naszych braci, aby sprowadzić na was śmierć.

Dawson zignorował kryształomorfów. Mrużąc oczy popatrzył na rozświetlone przenoszonym światłem słonecznym zbocza, badając kształt barier wznoszących się z obu stron. Oceniał możliwość połączenia się ze statkiem, ze szczytu którejś z tych skał. W końcu wskazał na jedną z nich.

— Wydaje się, że z tej powinniśmy widzieć statek. Wygląda również, że wejście na nią jest możliwe, po tych podobnych do stopni kryształowych występach, które znajdują się na jej przedzie. Będziemy ciągnąć losy, kto pójdzie.

— Pozwólcie spróbować mnie — zgłosił się Millar. — W razie jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, nikt z nas nie ujdzie z życiem. Równie dobrze mogę więc spróbować tam wejść.

— Będziemy ciągnąć losy — powtórzył Dawson.

Losowanie i tak „wygrał” Millar.

Kiedy podszedł do przeciwległej ściany i ostrożnie wszedł na występ uformowany na powierzchni kryształu, wokół nich ponownie zabrzmiały słodkie akordy pieśni śmierci.

Muzyka przybrała teraz głębsze tony, jakby bardziej dostosowane do masy otaczających ich skał, ale zaczęła penetrować ich zmysły z tą samą niesamowitą gwałtownością, co przedtem.

Stopa Millaraześlizgnęła się lekko.

— Niech pan użyje szpiczastych wypustek na palcach skafandra — zawołał Dawson. — Proszę wysunąć je tak mocno, jak tylko się da i przy ich pomocy próbować trzymać się szczelin. Ale niech pan nie wbije ich za mocno, bo nie będzie mógł pan ich wyciągnąć! Wtedy utknąłby pan na środku ściany.

Kiedy obserwowali boleśnie powolne posuwanie się Millara w górę ściany, drżenie pod ich nogami nasiliło się do rozmiarów trzęsienia ziemi. Pani Phillips i jej córki przyglądały się więżącym ich skałom ze narastającym przerażeniem.

— Jesteśmy w pułapce — zaczęła piszczeć Roene. — Nigdy się stąd nie wydostaniemy!

Dawson zignorował ich narastające pomruki strachu i skargi. Odszedł na bok i usiadł na kryształowych narach, na których leżało ciało Roala Canby'ego.

Był zmęczony. Śmiertelnie zmęczony. Naiwnością była wiara, że człowiek może przez cały czas iść przed siebie i umrzeć w swych butach, pomyślał sobie. Nadchodzi wreszcie czas, kiedy trzeba zaakceptować zmianę sposobu funkcjonowania i zwolnić tempo. Było to tak samo częścią życia, jak praca i podążanie ścieżką kariery.

Przede wszystkim popełnił ogromny błąd, wprowadzając wyprawę Phillipsa do tej doliny. Doświadczony człowiek kosmosu, powinien najpierw dokładnie zbadać sytuację. Jeśli wszyscy tutaj zginą, będzie to wyłącznie wina Toma Dawsona.

A śmierć nie wydawała się już zbyt odległa, myślał. Rozejrzał się po grzmiących ścianach. Kawałki kryształu strzelały z nich spazmatycznie, wbijając się ostrymi końcami w dno doliny. To wymagało czasu, ale wznoszące się wokół niech masy kryształowych skał, mogły rozpaść się równie łatwo, jak bardziej delikatne formacje, które zamknęły ich w dolinie.

To wymagało czasu. Ale nie aż tak dużo czasu, ile było potrzebne, by załoga *Westphalii* podniosła alarm i wyruszyła na poszukiwania. Byli w dolinie zaledwie od godziny. Pozostały jeszcze dwie. Do tego czasu ta podstępna muzyka śmierci, którą przygotowały wrogie kryształomorfy, zrówna to miejsce z ziemią.

Dawson obserwował każdy ruch nieustannie podążającego naprzód Millara. W myślach podziwiał jego kompetentne wysiłki. Millar był dobrym człowiekiem. Łatwo było zrozumieć furię, która go ogarnęła po głupiej, rozwiązłej zdradzie Anyi.

Dawson nagle zesztywniał. Zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć w tym blasku. Kawałek drogi poniżej Millara, widać było jakiś ruch światła. Był już pewien, że stało się coś, czego się obawiał. Millara ścigał jeden z kryształomorfów.

Popatrzył na grupę istot stojących po drugiej stronie wąskiego dna doliny. Cała czwórka obcych ciągle tam była. A więc, ten na górze, musi być jednym z wrogów.

— Millar – niech pan się zatrzyma! Proszę się uważnie rozejrzeć. Za panem jest kryształomorf. Niech pan zobaczy, czy nie będzie miał ochoty rozmawiać. Być może, to jest – Canby.

Zobaczyli jak Millar odwraca się z zaskoczeniem. Kryształomorf także się zatrzymał. Usłyszeli głos Millara, obwołującego stworzenie, a następnie powiedział on do swych towarzyszy:

— To nie Canby – a przynajmniej tak mówi. Nie mogę zrozumieć reszty. Powiedział, że tylko idzie ze mną, że należy do mnie. Jak pan myśli, powinienem spróbować go zepchnąć?

— Nie! To byłoby jak szamotanie się z kozicą na skalnej ścianie. Jeśli nie będzie wchodził panu w drogę, proszę zostawić go w spokoju. Będziemy wszystko obserwować i ostrzeżmy pana, gdyby podszedł zbyt blisko. Jeśli pan zdoła, proszę się dowiedzieć, dlaczego idzie z panem.

Nieustanna wspinaczka Millara pokrzepiła panią Phillips, pomimo porażającego odgłosu trzęsących się kryształowych gór. Wydawało się, jakby każdy krok Millara był także kolejnym w jej drodze do bezpieczeństwa wyrafinowanej cywilizacji, w której to ona była władczynią.

Jej gniew ponownie skupił się na okolicznościach, które sprowadziły na nią tę grozę. Okoliczności zaś personalizowały się w osobie kapitana Dawsona.

— Panie kapitanie, chciałabym, aby pan wiedział, że dotarcie do pierwszego cywilizowanego portu, automatycznie będzie wiązać się z pańską dymisją — oznajmiła z nagłą furią. — Uważam, że jest pan osobiście odpowiedzialny za tę sytuację, która groziła utratą przez nas życia.

Powoli odwrócił się w jej kierunku. Prawie zapomniał, że jej jadowity charakter będzie wracał wraz z każdym krokiem wspinaczki Millara.

— Groziła, pani Phillips? Jeszcze się stąd nie wydostaliśmy.

Wiedział, że pewnego dnia będzie mógł powiedzieć jej znacznie więcej i z pewnością to zrobi, ale nie teraz. Swoją drogą, jakiś sporych rozmiarów kamień mógłby walnąć ją w głowę na tyle mocno, by pozbawić ją przytomności, do czasu kiedy albo się uratują, albo z pewnością będą skazani na śmierć.

Z powrotem skupił uwagę na Millarze. Ohydna powódź paskudnych dźwięków zdawała się wirować we w tą i z powrotem, wokół zwężającego się wierzchołka kryształowej skały, do którego zbliżał się mężczyzna. Nie zostało mu już teraz daleko, by zobaczyć statek, ale te ostatnie stopy były właśnie najtrudniejsze.

W uszach Dawsona buchnął nagły wrzask. Odwrócił się do tyłu. Jeden z kryształomorfów zbliżał się do ubranej w bulwiasty skafander kosmiczny postaci Sandry Phillips. W rękach trzymał postrzępiony odłamek kryształu. Dawson zeskoczył gorączkowo z ołtarza i płynnym ruchem wytrącił pocisk z dłoni kryształomorfa.

Potem stanął przed stworzeniem, a w jego oczach płonęła furia. Obcy odwrócił się spokojnie w jego stronę i obrzucił go spojrzeniem, z wrażeniem bezdennej głupoty.

— Przecież chciałeś, żeby to zrobić — stwierdził Kor Remy.

Dawson stłumił wybuch, który w nim wzbierał. Rzeczywiście chciał, żeby to się stało, pomyślał z niedowierzaniem. Chwila głupiej wściekłości, na którą sobie pozwolił.

— Nie – wcale tego nie chcę. Czy również to ty zwaliłeś nam na głowy góry?

— Dokładnie tak, jak sobie tego życzyliście — odparł Kor Remy.

— Co przez to rozumiesz? Nikt z nas przecież nie chciał, żeby góry przewracały się na nas!

— Och tak, chcieliście tego! Ona chciała – i oni — wskazał szybko po kolei na Sandrę Phillips, jej dwie starsze córki i męża Roene. — Oni chcieli, żeby góry na was spadły – i ten, który się przemienił. Nie rozumiemy tego. Nigdy wcześniej to się nie wydarzyło.

— Co to zwariowane stworzenie opowiada? — dopytywała się pani Phillips.

Dawson cofnął się i ponownie usiadł na kryształowym ołtarzu. Poczuł się, jakby coś ciężkiego zwaliło mu się na pierś. Z rozbłyskiem zrozumienia, jaskrawym jak rzeka światła przepływająca przez ściany doliny, pojął wszystko!

Zwrócił się do kryształomorfa.

— Który z was jest mną? — powiedział nagle.

— To ja — odparł Kor Remy. — Pozostali – podejdźcie do swych obrazów.

Natychmiast każdy z pozostałych trzech obcych stanął obok któregoś z Ziemian. Ustawili się przy George’u, Irene oraz Ralphie Hillu.

— Oto mamy odpowiedź — powoli westchnął Dawson. — George, powiedziałeś kiedyś, że zanim ta podróż dobiegnie końca, ktoś może kogoś zabić. Nawet nie wiedziałeś, jak bardzo miałeś rację!

— O czym pan mówi! — krzyknęła pani Phillips. — Brzmi to równie niedorzecznie jak to, co opowiadały te stworzenia!

— One wcale nie są żywe — wyjaśnił Dawson. — Właśnie dlatego nie widać tu żadnych oznak zamieszkania, czy jakichś ich artefaktów. Te stworzenia były martwymi kryształami, takimi samymi jak reszta ich świata – dopóki my tutaj nie przybyliśmy.

— Są martwe, ale może nie do końca bierne. Siły piezoelektryczne i foto-procesy w tym intensywnym promieniowaniu białego karła, tworzą im jakieś niewielkie możliwości ruchu, ale nic przypominającego prawdziwe życie.

— Potrafią tylko kopiować, odzwierciedlać, jeśli wolicie. Są tylko zwykłymi lustrami – lustrami życia, z grubsza mówiąc, ponieważ nie potrafię wymyśleć innego określenia.

— Mają jednak dosyć prymitywne możliwości. Nie potrafią odzwierciedlić niczego, poza najsilniejszymi i najbardziej elementarnymi cechami osoby, do której się przypisały. Delikatnych zahamowań, które pojawiły się tak późno w ewolucji człowieka, w ogóle nie potrafią wyrazić.

— A więc, mamy następującą sytuację. Dla każdego z nas istnieje kryształowe zwierciadło, skupione na wsłuchiwaniu się w najbardziej elementarne impulsy i prymitywne zamiary w naszej duszy. Te cztery tutaj obecne kryształy, związane są z tymi, którzy pragną przeżyć i wydostać się stąd.

— Ale dlaczego nie ma kryształów dla pozostałych? — wykrzyknął George. — Nie rozumiem tego. I czemu ta czwórka nie próbuje nam pomóc?

— To wymaga większej inicjatywy i woli działania, niż one potrafią z siebie wykrzesać, ale można im rozkazywać!

Zwrócił się z furią do czterech kryształomorfów.

— Wynoście się w góry! Zniszczcie swych braci, próbujących roztrzaskać ściany doliny. Pomóżcie temu człowiekowi, który się wspina.

Zawahali się, jakby nie do końca pojmując.

— Idźcie! — rozkazał Dawson.

Skoczyli w górę po kryształowych ścianach, tak szybko, że wydawało się, iż nagle zniknęli. Ziemianie czekali przez kilka długich chwil, po których pojawiła się zmiana w straszliwej muzyce kryształów. Wdarły się w nią potworne dysonanse i starcia dźwięków.

Dawson wydał z siebie westchnienie ulgi. Drgania zagrażające zawaleniem się skał, załamały się.

— To straszne! — zawołała pani Phillips. — Jak my to wytrzymamy?

— Proszę wyłączyć swój komunikator, jeśli pani chce.

Zignorowała tę sugestię.

— Nie odpowiedział pan na pytanie George'a. Dlaczego nie ma kryształów dla pozostałych? Czemu nie ma dla mnie, dla Anyi, i…

— Ależ one są. Czy pani tego nie rozumie, pani Phillips? One są wyżej, na zboczach gór, próbując zabić nas wszystkich, zawalając kryształowe skały. Wykonują najbardziej podstawowe polecenia pani małego, cuchnącego umysłu, dokładnie tak jak je odczytały.

— George! — krzyknęła oburzona. — Nie życzę sobie być obrażana w taki sposób. Ten potwór…

— Podstawowym uczuciem, jakie panią przepełnia, jest nienawiść – podobnie wszystkich was, których reprezentantów tutaj nie ma. Każde z was nienawidzi kogoś tak intensywnie, że chce go zabić. Obiektem pani uczucia, pani Phillips, jest oczywiście George. Chce pani dobrać się do jego pieniędzy w jeszcze większym rozmiarze. Anya chce pozbyć się Millara, a więc…

— To kłamstwo! Zabiję pana!

— Być może pani się uda.

Dawson uważnie nasłuchiwał. Harmonia wydawała się powracać, tak jakby wrogie kryształomorfy pokonały pozostałych.

— Nie rozumiem, dlaczego jest pani taka zawzięta, teraz kiedy Canby nie żyje — mówił dalej Dawson. — Roene i Omar, najchętniej nawzajem poderżnęliby sobie gardła…

Cała czwórka zdawała się ruszać na niego we wspólnym gniewie i przygotowanej akcji.

— Zabiję cię! — warknął Omar.

— Popatrzcie tam do góry! Spójrzcie na siebie. Jesteście jedynymi mordercami, którzy mają szansę obejrzeć swe własne zbrodnie! Przyjrzyjcie się sobie jak zabijacie!

Wydawało się, że gorzka intensywność uczuć Dawsona odrzuca ich do tyłu. Niechętnie ich wzrok skierował się w górę, na wierzchołki kryształowych skał. Widać było tam teraz walczące postacie kryształomorfów. Cztery ich pary stały na wąskich występach skalnych,

walcząc z brutalną, szaleńczą furią. Obserwując walkę obcych, Ziemianie na chwilę zapomnieli o swych własnych uczuciach.

Nagle jedna z postaci zachwiała się, próbowała bezskutecznie chwycić się skały i spadła. Z hukiem uderzyła o ziemię, niemal u ich stóp.

Potem z występu rozległ się dziki, obłąkany wrzask zwycięzcy:

— Walczycie z nieśmiertelnymi, wy słabeusze z Ziemi!

— To Canby! — zawołał George.

— Nie — odparł Dawson. — Canby nie żyje. To stworzenie nie bardziej jest Canbym, niż pozostałe z nich są nami. Dzięki kryształowi oraz jego śmierci, matryca impulsów Canby'ego trwalej zapisała się w kryształomorfie. Czy będzie ona istnieć na zawsze, tego nie wiem.

Pokruszone resztki kryształomorfa, leżące u ich stóp, zaczęły powoli zsuwać się razem, zlewając się jak kropelki wody na posmarowanej tłuszczem powierzchni. Zdawały się w ich wracać jakieś słabe ślady życia.

— Wracaj tam na górę! — polecił stworzeniu Dawson.

Kryształomorf wstał, jakby po jakimś straszliwym zmartwychwstaniu i wrócił z powrotem na ścianę doliny.

W tej właśnie chwili także postać, która szła za Millarem, oderwała się od swego pierwowzoru i przecięła drogę potężniejszemu kryształomorfowi Canby'ego. To Millar rozkazał jej to zrobić, wystawiając się samemu na atak pozostałego wroga, który znajdował się tylko pięćdziesiąt stóp od niego.

Millar śmiertelnie nienawidził Canby'ego, pomyślał sobie Dawson. To właśnie dlatego kryształomorf Millara znalazł się pomiędzy wrogimi. Po śmierci Canby'ego nienawiść zniknęła i kryształomorf szukał miejsca u boku Millara.

Teraz cały wynik bitwy wydawał się zależeć od tego, czy Millar zdoła dotrzeć do wierzchołka skały, zanim nie przechwyci go jeden z pozbawionych przeciwników kryształomorfów.

Wierzchołek był już tylko dwadzieścia stóp od niego, po zdradzieckiej, wąskiej pochyłości. Milcząca, świecąca postać kryształomorfa stale nadrabiała nad Millarem. Zmartwychwstały sojusznik był zdecydowanie za daleko, żeby pomóc.

Dawson popatrzył na inne zmagające się pary. Nienawiść jest silniejsza od przetrwania, pomyślał z goryczą. Sprzymierzone z nimi kryształomorfy stale przegrywały.

Żadne z nich nic nie mogło zrobić. W miarę jak ich kryształomorfy słabły, narastająca rzeka dźwięku wydawała się zyskiwać śmiertelną melodyjność. Dno doliny ponownie zatrzęsło się niszczycielskim konsonansem.

Dawson popatrzył z napięciem na twarze swych towarzyszy. Zastanawiał się, czy w ogóle mają, choćby najmniejszą szansę…

— Ciekawe, czyj jest ten ścigający Millara — powiedział wolno. — Jeśli Millarowi nie uda się uciec, to z nami koniec. Popatrzcie tylko, jak to stworzenie się wspina. Dogania Millara. Chce go zabić, zanim ktoś, kto jest tu na dole, także umrze. Tam na górze, to może być ktokolwiek z was. Nikt tego nie wie, z całą pewnością. Wszyscy nienawidzicie na tyle mocno, by zabić i widzicie właśnie swoje własne działania. To nieważne, że może Millar nie jest bezpośrednim obiektem waszej nienawiści. To nieważne, że tym samym zabijecie także resztę z nas i siebie samych. Tak właśnie działa nienawiść – uderza na ślepo, na ślepo sieje zniszczenie, aby kogoś skrzywdzić.

— Czy to ty, Sandro Phillips? — wyszeptał gwałtownie. — Czy to ty pełzniesz po tym występie, żeby zepchnąć Millara i zabić go, tylko dlatego by George mógł umrzeć? George stoi tu koło ciebie, obserwując jak zbliżasz się aby zadać cios, oznaczający jego własną śmierć. To okrutne i niewdzięczne względem człowieka, który przez całe swoje życie stał u twego boku. Czy na pewno aż tak bardzo go nienawidzisz, Sandro Phillips?

— Kiedyś, dawno temu — kontynuował jeszcze bardziej delikatnym tonem, — w czasach kiedy byłaś młoda, kochałaś George'a Phillipsa. Były to czasy, kiedy nie miał niczego, poza marzeniem zbudowania wielkich rzeczy, a ty dzieliłaś to marzenie razem z nim. Kochałaś go i obiecałaś mu pomoc w jego realizacji. Pomyśl, Sandro Phillips. Czy nie było takich czasów?

— Niech pan przestanie! — krzyknęła.

A potem, w słuchawkach swego komunikatora, usłyszał brzydki dźwięk jej starczego głosu, szlochającego. Słyszał jak bezradnie woła:

— George, George…

Dawson popatrzył do góry, na odległe szczyty skał. Twarz miał całą spoconą. Czuł jak ciepłe strużki spływają mu po szyi. Nie widział, który z wrogów dogania Millara. Ale teraz nie mógł przerwać…

— To możesz być ty, Anyu — powiedział. — Roal Canby nie żyje. Czy jesteś pewna, że wolisz wspominać tego małego artystę o pokręconym umyśle, a nie Millara, który cię kocha? Nie jesteś chyba aż tak zimna i zgorzkniała, by nie pamiętać jak to jest w jego uścisku.

— Zabiję cię…

— Dlatego, że zwracam cię jemu? A jego tobie? Czy to aż tak niegodziwy dar, Anyu? Pomyśl…

Po chwili mówił dalej.

— A może to Roene, albo Omar. Może nigdy nie poznaliście czym jest miłość, tak bardzo byliście skupieni na podbojach i ucieczce. Może moglibyście ją poznać – między sobą…

Nagle w słuchawkach jego hełmu zabrzmiał krzyk i zobaczył, że na szczycie skały stoi samotna postać, wymachująca szaleńczo rękoma.

Głos Millara brzmiał nieco histerycznie:

— Widzę ich! Widzę statek. Połączyłem się z nimi!

Kilka godzin później luksusowy jacht wzbił się z powierzchni kryształowej planety. Kapitan Dawson odwrócił się na odgłos kroków, które rozległy się za nim na mostku. Był to George Phillips.

W jego oczach, w których przez tak wiele długich lat widać było tylko rezygnację, teraz było życie i śmiech.

— Nie mówiłeś chyba poważnie o tej farmie z kurami, co Tom?

— W całym moim życiu nigdy nie byłem bardziej poważny. Doszedłem do wniosku, że jeśli my stare kosmiczne wygi odchodzimy na emeryturę, powinniśmy naprawdę odejść i nie robić wokół tego takiego zamieszania. Te ostatnie pięć minut w Kryształowej Dolinie dorzuciły mi dziesięć lat życia.

— Mam nadzieję, że to nie będzie trwałe — trzeźwo odparł Phillips. — Mnie odjęły dziesięć. Nawet nie wiesz, jak wiele dla nas zrobiłeś. Kobiety są gotowe zacząć wszystko od początku. A to strasznie dużo dla mnie znaczy. Dzięki temu wiem, że moja rodzina nie była całkowitą porażką.

W oczach starszego mężczyzny pojawiło się coś podejrzanie podobnego do łez, a głos dziwnie mu zadrżał.

— Reszta z nich też się tutaj pojawi, żeby ci to powiedzieć samemu, kiedy tylko pozbierają się na tyle, by stanąć z tobą twarzą w twarz.

— Mam nadzieję, że tego nie zrobią — powiedział Dawson. — Ja tylko próbowałem ocalić nasze głowy, a jedynym sposobem na to było powstrzymanie kryształomorfa przed zepchnięciem Millara ze ściany.

— W trakcie tego procesu dałeś nam wszystkim nowe życie, i nigdy ci tego nie zapomnimy. Ale powiedz mi, czyj był ten kryształomorf, który ścigał Millara?

Dawson pokręcił głową.

— Naprawdę nie wiem. Ale, czy to ważne?

— Nie… nie, to nie ma żadnego znaczenia. Prawdę mówiąc, tak jest znacznie lepiej. To mógł być każdy z nich. Dlatego właśnie żadne nie zapomni tego do końca życia. Zawsze będą pamiętać, że widzieli swe odbicie próbujące popełnić morderstwo.

Poparzył do tyłu, na planetę, która teraz stała się już tylko niesamowicie jasnym dyskiem na niebie.

— „… dała nam dar” — miękko wymruczał, — „zobaczyć siebie jak inni widzą nas![1]”

KONIEC

[1] Robert Burns „To A Louse, On Seeing One on a Lady's Bonnet at Church” (przyp. tłum.)